

ANTONI MACZAK
(Warszawa)

BADANIA KWANTYTATYWNE *

Temat, który mam zaszczyt omówić z tej trybuny, różni się poważnie od pozostałych referatów dzisiejszego posiedzenia. W przeciwieństwie do prac kartograficznych, bio- i bibliograficznych, a także do wysoce u nas wyspecjalizowanych nauk pomocniczych historii, badania liczbowe w praktyce polskiej nauki historycznej nie dadzą się wyodrębnić w sposób przejrzysty, dychotomiczny i przekonywający. Nie potrafiłbym ustawić na osobnych półkach owych prac kwantytatywnych — którymi wypada mi się teraz zająć — oddzielając je od pozostałych, których nie umiem objąć wspólną nazwą. Przecież w największym stopniu ów czynnik liczby pojawił się w tomie tekstowym *Atlasu Historycznego: Prusy Królewskie w drugiej połowie XVI wieku*, który należy dziś do tematu omawianego przez Henryka Samsonowicza.

Może więc stosunek do badań ilościowych jest przedmiotem sporu między pokoleniami? Taki sąd nie byłby odosobniony. Niech mi wolno będzie przytoczyć zdanie Stefana Kieniewicza z jego pięknego wykładu inauguracyjnego rok akademicki 1975/76 na Uniwersytecie Warszawskim:

„Ten wykład inauguracyjny był, obawiam się, nietypowy. Od historyka starej daty mogliście Państwo spodziewać się anegdot i barwnych obrazów. Historyk w nowym stylu powinien był Państwo uraczyć serią wykresów i wskaźników. Usłyszeli zaś Państwo ode mnie garść refleksji obywatelskich”¹.

Sądzę jednak, że ów kontrast — nazwijmy go dla ostrości przesadnie: anegdota/wykres — nie rysuje się w obrębie społeczności historyków polskich wyraźnie; jeśli ma być niebezpieczeństwem, to bardziej odległym niż inne, do których nawiązuje cytowany wykład. Stan na dzień dzisiejszy jest taki, iż z bardzo nielicznymi wyjątkami nawet prace o wyraźnie kwantytatywnej tematyce obywają się bez matematyki przewyższającej zawiloscią cztery działania. Nie umieściłem w ostatnim zdaniu żądła, bowiem uważam, że niebezpieczeństwo kryje się w czym innym: przeważnie nie potrafimy posługiwać się w wykładzie liczbą, wykresem; co gorzej — nie umiemy wykresu czytać. Błąd czy nielogiczność ubrana w słowa zostanie wykryta znacznie łatwiej, niż nonsens ukryty w krzywej diagramu czy w interpretacji kolumny liczb. Jako zbiorowość — historyków, humanistów, obywateli — jesteśmy przez tradycję i współczesność immunizowani przeciw liczbie jako odbiciu rzeczywistości. Historycznie uwarunkowana niechęć i nieufność wobec statystyk oddziaływa z kolei na badania przeszłości. Jakże dotkliwie daje się to odczuć w badaniach i nauczaniu historii!

* Referat wygłoszony na uroczystej sesji naukowej 28 II 1978 z okazji 25-lecia IH PAN.

¹ S. Kieniewicz, *Nauki historyczne i świadomość narodowa — wczoraj, dziś i jutro*, „Roczniki Uniwersytetu Warszawskiego” t. XV, 1977, s. 25.

Istnieją jednakże i inne trudności wyodrębniania tego, co w rozumowaniu kwantytatywne. „[...] wszelkiemu stwierdzeniu zawierającemu jakąś postać mierzenia — pisze amerykański badacz dziejów politycznych — można przyznać logicznie charakter kwantytatywny. Gdy historycy przytaczają «typowy» artykuł wstępny czy poglądy «reprezentatywnych ludzi» lub gdy używają określeń takich jak «znaczący», «rozpowszechniony», «rosnący», «intensywny» wypowiadają w rzeczywistości sądy kwantytatywne»². Któż więc nie zgrzeszył kwantytatywnością? Któż nie był w tym panem Jourdain?

W takim ujęciu badania kwantytatywne stanowią formę zastąpienia względnie ścisłym, a przede wszystkim — świadomym, sądem liczbowym zdań nieścisłych, czasem intuicyjnych. Jednakże problem tkwi nie tylko w sposobie odpowiedzi na pytania; mieści się on także w doborze pytań i techniki ich stawiania.

To, co uważam za najważniejsze dla powolnej, ale, mam nadzieję, głębokiej przemiany, jaką przeżywa nasza historiografia, określić można następująco: przechodzimy od tematów, które traktowały dane i wnioski liczbowe egzemplarycznie, do prób ujmowania ich całościowo, jako ważnego miernika badanej rzeczywistości.

Chciałbym się tu zastrzec: nie traktuję ujęcia kwantytatywnego jako waloru samego w sobie, na niekorzyść prac odmiennego typu, choć uważam za oczywiste, że gdy można odpowiedzieć „ile”, „jaka część” zamiast operowania nieokreślonością „wielu”, „niemało” czy „trochę”, przemiana jest korzystna. Martwi mnie sytuacja, gdy stan badań pozwala operować jedynie oderwanymi liczbami bez relacji do innych. Razi i gniewa, gdy natrafia się na straszące jeszcze w monografiach z historii społeczno-gospodarczej liczby przesadnie, pozornie, absurdalnie ściśle: produkcja z dokładnością do tony, zaludnienie kraju — do jednego mieszkańca. Łowią czasem, ale niezbyt uważnie, te curiosa recenzenci. Jako zbiorowość historycy u nas nie są dość wrażliwi na te sprawy.

Operowanie liczbami wymaga bowiem od historyka wyrobienia sobie odrębnych nawyków, często przewyciężenia tradycji obyczajowej, owego szczególnego kompleksu antymatematycznego, wynoszonego ze szkoły przez wielu absolwentów z piątkami z polskiego czy historii. Nie jest to, jak się powszechnie sądzi, nieodłączny rewers medalu za zasługi dla humanistyki. Stykając się ze studentami amerykańskimi (ale odniósłbym to także do szwedzkich czy czeskich, nie wyczerpując w ten sposób listy) dostrzegłem znacznie silniejszą, naturalną pewność, z jaką odnoszą się do liczb, często łatwowierność gaszącą potrzebę kontroli. Zjawisko wydało mi się tak uderzające, że aż budzi skojarzenie z odległym w czasie przełomem w stosunku do liczby i kwantyfikacji, jaki dla elżbietańskiej Anglii dostrzegł John Ulric Nef.

Problem wydaje mi się ważny, choć nie znajduję nań lekarstwa ani nie odważyłbym się go podsunąć nikomu jako tematu badawczego z historii historiografii. Zbierzmy zjawiska, nieco przesadnie wyostrzając kontrasty. Jako człon porównania nasuwa się właśnie Anglia. Historyk brytyjski ma do dyspozycji wielokrotnie obfitszy od polskiego materiał liczbowy wszelkiego typu i już od XI w. poczynając. Oczywiście, obfitsza

² L. Benson, *Research Problems in American Political Historiography* [w:] *Common Frontiers of the Social Sciences*, wyd. M. Komarovsky, Glencoe, Ill. 1957, s. 117 (cyt. według *Quantitative History. Selected Readings in the Quantitative Analysis of Historical Data*, wyd. D. K. Rowney i J. Q. Graham, Jr., Homewood, Ill. 1969, s. VII).

jest także korespondencja prywatna, lepiej zachowane dokumenty i za-
bytki materialne. Większa kompletność materiału zmienia propozycje
próby wobec zbiorowości statystycznej i całkowicie zmienia technikę ba-
dawczą. Sądzę, że studia w rodzaju prowadzonych przez Lawrence Stone'a
nad strukturą demograficzną, dochodami, kulturą arystokracji, przez
G. E. Aylmera nad zbiorowością wyższych urzędników królestwa
w XVII w. itp. są u nas technicznie niemożliwe.

Zmiana technik i zainteresowań historyków brytyjskich wiązała się
wielorako z przełomem w metodach i badań i wykładu. „W minionym po-
koleniu — mówił przed dwudziestu laty Frederick J. Fisher — wymaga-
no od historyka gospodarczego, aby umiał czytać, ponieważ większość
jego źródeł była typu opisowego. Wzorem monografii naukowej był cienki
strumyczek tekstu, wijący się wśród szerokich i bujnych łąk przypisów.
[...] Wzór monografii według naszej współczesnej mody, to potok tekstu,
często niezbyt przezroczysty, który biegnie od tablicy do tablicy i wiruje
wokół wykresów. Mój poprzednik — ciągnie Fisher — postulował
w swoim wykładzie inauguracyjnym, aby przy pisaniu historii gospodar-
czej w szerszym stopniu wykorzystywać statystykę. Wszechmocny wysłu-
chał jego prośby i zamiast deszczu zesłał potop”³. Warto tu dodać, że na-
stępne zdanie o metodach statystycznych ów profesor London School of
Economics zaczyna: „Jako laik, nie wyznający się w tych sprawach [...]”.

Jednakże, cokolwiek by sam na ten temat sądził, badacz stosunków
brytyjskich obok mnogości materiału liczbowego ma do czynienia ze zdu-
miwiającą dla Polaka trwałością i ciągłością instytucji. Nasze serie sta-
tystyczne rwą się nie tylko w rezultacie klęsk dosięgających zbiory ar-
chiwalne, ale i w wyniku ustawicznych raptownych zmian politycznych
i administracyjnych. Zapewne, nie jesteśmy w tym wyjątkiem na
naszym kontynencie, jednak skumulowany efekt burz targających raz
państwem, a raz powiatami historyk odczuwa jeszcze długo wówczas, gdy
inni już o nich zapomnieli, jakoś tam sobie radząc.

Powyższe uwagi dotyczą trudności, na jakie natrafia każdy historyk.
Proszono mnie, bym mówił o dorobku Instytutu Historii, zastanawiałem
się więc, czym ta właśnie grupa badaczy odróżnia się od pozostałych.
Niewątpliwie w kilku ważnych dziedzinach badań kwantytatywnych
Instytut Historii wyrobił sobie w najlepszym tego słowa znaczeniu mo-
nopol. Dyskusja na temat plonów rolnych w XVI i XVII w. okazała się
niezmiernie ważna dla badań nie tylko w Polsce, ale jest to przecież
wewnętrzna dyskusja między kolegami z jednej pracowni Instytutu. Po-
dobnie z badaniami nad domeną królewską, a ogólnie w badaniach nad
gospodarką wielkiej własności w czasach przedrozbiorowych Instytut Hi-
storii magna pars fuit.

Przesunięcie akcentu ku problemom społecznym i kulturalnym, wię-
cej — niepopularność, której ofiarą padły przed wielu już laty w Polsce
badania historycznogospodarcze, z jednej strony odjęły ważne pole badań,
z drugiej przecież jednak otworzyły szansę działań nowatorskich. Ileż
stereotypów, obowiązujących zarówno w podręcznikach i syntezach, jak
w opinii społecznej wymaga liczbowego właśnie sprawdzenia: odsetek
szlachty w społeczeństwie dawnej Rzeczypospolitej, rodówód inteligencji,
geneza i przemiany klasy robotniczej, skład narodowościowy burżuazji,
zasięg społeczny ruchów narodowowyzwoleńczych, rozmach konspiracji,

³ F. J. Fisher, *Czy stulecia XVI i XVII są zagadką historii gospodarczej Anglii?*
[w:] *Geneza nowożytnej Anglii*, wyd. A. Mączak, Warszawa 1968, s. 30 nn.

dramatyczny zakres martyrologii. Prace na te lub zbliżone tematy (katalog to wszak niekompletny) są w toku i w oparciu o lekturę ukończonych monografii i przyczynków nie trudno dostrzec, jakie rokują nadzieje. Zresztą właśnie struktura Instytutu, stwarzająca większą możliwość organizowania badań zespołowych, wydaje się bardziej niż w instytutach uniwersyteckich odpowiednia dla prowadzenia nowoczesnych studiów kwantytatywnych. Taki wniosek wyciągnąć można choćby z wyników zapoczątkowanych pod kierownictwem Witolda Kuli i wciąż prowadzonych badań nad społeczeństwem XVIII i XIX w. Czy więc w badaniach kwantytatywnych należy też iść w kierunku syntez?

Szczęśliwie badania takie nie zostały skoncentrowane w osobnej komórce czy pracowni. Bardzo bym przed tym przestrzegał, bowiem należałoby się wówczas obawiać administracyjnej konieczności ukończenia w przewidzianym terminie „Kwantytatywnej historii Polski” w określonej liczbie tomów. Pomysł nie bezpodstawny w warunkach francuskich, w naszych byłby ubolewania godny.

To powiedziawszy chcę jednak zauważyć, że istnieje dla Instytutu pole użytecznego działania w tym zakresie. Przed jedenastu laty, w ramach przygotowań do pięćdziesięciolecia odzyskania niepodległości, Główny Urząd Statystyczny przygotował z własnej inicjatywy obszerny wydawnictwo statystyczne dla ziem Rzeczypospolitej w l. 1918—67; był na ten temat nawet wywiad w prasie. W tymże czasie wraz z gronem kolegów przyjąłem propozycję opracowania abstraktów statystyczno-historycznych dla okresu staropolskiego i rozbiorowego. Po dwóch latach intensywnych prac GUS wycofał swą inicjatywę i poparcie, a ów tom dla dziejów najnowszych oglądałem wraz z Juliuszem Łukasiewiczem jedynie przez chwilę w maszynopisie. Sprawa uwiędła przed niespełna dziesięciu laty.

Wspominam o tym dlatego, że chyba właśnie Instytut Historii PAN powinien by podjąć takie wydawnictwa. Jeśli postuluje się pewien rozmach badań kwantytatywnych — a umieszczenie tego tematu w programie dzisiejszej sesji zdaje się na to wskazywać — trzeba podchodzić do sprawy od dwóch stron. Jedna — to owa, stopniowa z konieczności, ewolucja metod badawczych, rezygnacja z liczby jako wyłącznie exemplum. Druga — to systematyczne gromadzenie informacji liczbowych, do którego powinien przystąpić — moim zdaniem — właśnie Instytut, w razie potrzeby wciągając do dzieła kooperantów. Czas nagli, bowiem zaczynamy, obawiam się, tracić pozycję, którą historiografia polska wyrobiła sobie w ostatnich dziesięcioleciach w skali międzynarodowej. Niezależnie od osiągnięć indywidualnych badaczy owego rzemiosła — czasem artystycznego — które tak bardzo liczy się w humanistyce, podejmuje się w jakże wielu już krajach inicjatywy na skalę znacznie większą, przeważnie właśnie korzystające z metod kwantytatywnych. Sądzę, że nie tyle skromne środki, ile niesłychanie sztywna organizacja i biurokratyzowany system finansowania badań stoją nam na przeszkodzie.

Wiele krajów posiada już — z reguły cenne i użyteczne — zbiory materiałów statystycznych dla swej historii: ukazują się takie serie w Norwegii i Szwecji, odpowiedni tom angielski wyraźnie odcisnął się już w treści monografii i syntez; rocznica Risorgimenta we Włoszech i obchody Bicentennial w Stanach Zjednoczonych przyniosły imponujące, znakomite wydawnictwa, w pewnym sensie źródłowe. Wreszcie wzorem w tym zakresie może być działalność zaprzyjaźnionego z kilku pracownikami IH PAN ośrodka badań historycznych w węgierskim Urzędzie

Statystycznym. Zazdrość ogarnia, gdy się czyta w biuletynie brytyjskiego Social History Society o prostym i skutecznym systemie finansowania — przeważnie kwantytatywnych — badań z zakresu historii społecznej czy przegląda imponującą serię studiów w Uppsali, wynik długofalowego programu badań nad państwem, społeczeństwem i wojskowością szwedzką w XVII stuleciu.

Jestem przekonany, że moje uwagi wolno mi zakończyć optymistycznie. Mając tu wyznaczoną rolę orędownika badań kwantytatywnych, nie zwiastuję jednak zbliżającego się potopu, ale dostrzegam miarkowany możliwościami ich wzrost. Historykowi liczby nie kojarzą się już głównie z wypełnianiem formularzy sprawozdawczych, a Dichtung und Wahrheit statystyki współczesnej zaprawia do rzeczowego krytycyzmu wobec źródeł kwantytatywnych z przeszłości.